

## Tadeusz Boy-Żeleński: Wakacje z pyrdumką

Ale już pełzał ku Roztoce wróg, który miał ją zdusić. Już posuwała się, kilometr po kilometrze, zwolna ale nieuchronnie, wspaniała bita droga do Morskiego Oka, wytyczona wysoko nad Roztoką, koło malowniczych wodogrzmotów. Skoro tak droga doszła do końca, skończyła się jajecznicą i w ogóle życie Roztoki – wspomina Tadeusz Żeleński-Boy swoje tatrzańskie włóczęgi u boku Kazimierza Tetmajera. Przeczytaj w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Tatry. Narkotyki inteligenta”.

Przypomniało mi się z nadejściem lata, że już trzeci rok nie korzystam z urlopu. Czemu, sam nie wiem. Nie chce mi się, lubię powszedni dzień, nudzi mnie świętowanie. Ale czasem czuję jakieś ciągoty. „Natura”. Natura jest właściwie dla mnie tylko jedna: Tatry i ich akcesoria. Zakrztusić się dymem płonącej kosówki, dać się odmuchać do czysta górskiemu wiatrowi, usłyszeć dzwoneczki na hali... A może by znów, jak tyle razy dawniej, przenocować sobie w Roztoce i powędrować przez Białą Wodę, gdzieś pod Polski Grzebień, w górę... ale boję się smutku, który pewnie tam czeka na mnie przyczajony.

Zakopane, Tatry, cóż oklepańszego, wstyd prawie mówić o tym. Ale w moim tatrzańskim wtajemniczeniu było coś co je wyodrębnia z bezliku innych. Byłem, między czternastym a osiemnastym rokiem życia, towarzyszem włóczęg górskich Kazimierza Tetmajera, młodego wówczas poety, dla którego powziąłem fantastyczne uwielbienie. Byłem smarkatym Horacjem tego Hamleta, którego pęknięcie duszy nie było

nigdy fasonem literackim, ale najgłębszą i najboleśniejszą prawdą. I on, mam wrażenie, w okresach mizantropii lubił towarzystwo chłopca, którego wierna obecność broniła go od samotności nie nakładając ciężarów, który umiał słuchać i umiał szanować jego milczenie, i smucić się z nim i błaznować potrosze dla jego rozrywki.

*Tetmajer w górach był nie  
tylko najmilszym  
towarzyszem; był tym czym  
jest medium na seansie:  
wabikiem dla świata zjaw*

Dla mnie, zbliżenie  
to – i na tym tle! –  
było cudowną  
przygodą, było  
niezapracowanym i  
darowanym przez los  
rozszerzeniem skali  
życia i wrażeń. Z

zachwytem przechodziłem kurs żrącego pesymizmu, który tak oczyszcza serce dziecka. Asystowałem czarnoksiężskim operacjom, w których powszedniość przetapia się na sztukę. Byłem pod nieustającym urokiem. Tetmajer w górach był nie tylko najmilszym towarzyszem; był tym czym jest medium na seansie: wabikiem dla świata zjaw. Przyszły autor Skalnego Podhala samą obecnością swoją dobywał tam ze wszystkiego poezję, – och, wolną od wszelkiego poetyzowania, – poezję in statu nascendi. Zresztą, urodzony i wychowany na Podhalu, miał tam przyjaciół po wszystkich szalasach, znał skomplikowane góralskie parantele, znał miejscową gwarę i etykietę, umiał zagadywać starych i przekomarzać się z młódkami, i ciągnąć bazarzy za język. W mieście nie zdradzający swojej muzykalności, tutaj rozróżniał wszystkie odcienie i warianty trudnej nuty góralskiej i znał do nich najudańsze teksty. Wszystko przy nim stawało się interesujące: świstak, kozica, orzeł wiszący w powietrzu, niedźwiedź który zresztą nie raczył mi się

pokazać, dziwaczne nazwy szczytów i przełęczy, noce przesiedziane w szałasie przed długo dopalającym się polanem, wyiskrzzone niebo nad szałasem...

Na wszelki sposób uczyłem się mowy poezji. Często, wieczór, w obliczu gór, Tetmajer lubił mówić – wiersze morskie Heinego. W jakiejś korespondencji zakopiańskiej, pisanej przez nauczyciela gimnazjalnego, autor powiadał, że, wyszedłszy na szczyt Świnicy, nie mógł się wstrzymać aby nie zakrzyknąć: „Ej, ty na dzielnym koniu gdzie pędzisz, kozacze?”. Podobnie wiersze morskie mogłyby się wydać nie na miejscu w górach. A jednak nie. Kiedy zapadł mrok, a wiatr rozkołysał falę Czarnego Stawu, jakże wzruszające było siedzieć na wcinającym się w wodę kamieniu i słuchać tego np. wiersza mówionego zwolna, nabrzmiałym od melancholii półgłosem:

*Es ragt ins Meer der Runenstein — Da sitz ich mit meinen Träumen —  
Es pfeift der Wind, die Möwen schrei'n — Die Wellen, die wander und  
schäumen...*

Serce mi się wzdymało jakimś niedoznanym wprzódę uczuciem przy tych pierwszych inicjacjach w osobisty język liryki. A cóż dopiero, kiedy przysłała następna strofa: *Ich habe geliebt manch schönes Kind, — Und manchen guten Gesellen...* – wówczas, mimo że miałem piętnaście lat i nie straciłem ani kochanki ani przyjaciela, ledwie mogłem wstrzymać wewnętrzne łkanie, zwłaszcza że już czułem nadchodzące zamknięcie frazy tym echowym nawrotem, który dziś wydaje mi się dość łatwą sztuczką wersyfikacyjną, ale który wówczas miał dar wywlekania duszy ze mnie: *Wo sind sie hin? Es pfeift der Wind, — Es schäumen und wandern die Wellen...*

Czy jeszcze błędzi kiedy nad Czarnym Stawem cień Heinego? Gdyby tak sprawdzić?

*Przypuszczam, że wszystkie te  
trwogi i niebezpieczeństwa  
wydałyby się naiwne  
dzisiejszym pogromcom gór;  
ale wówczas była inna  
technika i inne przygotowanie*

Tetmajer był  
niezrównanym  
przodownikiem  
wędrówek górskich.  
Znał szlaki  
niebanalne, przejścia  
dolinami o  
dziewiczej  
roślinności,

zawalone pniami swobodnie próchniejących drzew. Był zresztą jednym z najśmielszych taterników, a ja... lażłem wszędzie za nim, choć nie mogę powiedzieć, abym się nie bał. Kiedy wieczorem, na noclegu, popatrzyłem na czarną prostopadłą ścianę i wyobraziłem sobie, że nazajutrz mamy piąć się na nią, ciarki chodziły mi po plecach, w noc budziłem się zlany potem. Modliłem się w duchu o deszcz, który by uniemożliwił wyprawę. Ale kiedy już znalazłem się na turni, dotknięcie jej upajało mnie, doznawałem jakiegoś zmysłowego drżenia (wszędzie te zmysły!), owego mgławego łaskotania w piersiach, jakie się odczuwa wisząc na rękach nad przepaścią.

Przypuszczam, że wszystkie te trwogi i niebezpieczeństwa wydałyby się naiwne dzisiejszym pogromcom gór; ale wówczas była inna technika i inne przygotowanie: nie śniło się o linach, ani o zabezpieczeniach; – lazło się, jak Pan Bóg przykazał, na rękach, na nogach, na siedzeniu, kładąc w to więcej serca niż zręczności.

Tetmajer lubił odkrywać. Tatry – te Tatry małe i olbrzymie, dziecinne i groźne – nie były wówczas tak zdeptane jak dziś.

Wdrapałem się z nim na parę szczytów, na których nie stanęła wprzód „stopa ludzka”: na Staroleśną, na Furkot, może jeszcze na jaki, którego nie pamiętam. Właściwie na Furkocie zostałem na kilkanaście metrów pod szczytem, zmożony wyczerpaniem i tremą; wskutek czego długo przetrawiałem jakże ważny wówczas dylemat, czy mam prawo powiedzieć, że byłem na Furkocie, czy nie? Dziś szczerze wyznaję, że mi to jest wszystko jedno, ale wówczas dawało to człowiekowi niemal pozycję socjalną. W owym miodowym miesiącu młodego taternictwa, ludzie dzielili się na takich, którzy byli na Lodowym, na Ganku itd. Kiedy biedny Birkenmajer niedawno znalazł śmierć na Ganku, drapała się na niego w zimie, najtrudniejszą stroną i w nocy – aż tylu smaków było mu potrzeba; wówczas człowiek jakże był szczęśliwy i dumny, że w ogóle wylazł na ten Ganek zwykłą drogą, która mi się wydała aż nadto niezwykłą...

*Ale już pełzał ku Roztoce  
wróg, który miał ją zdusić. Już  
posuwała się, kilometr po  
kilometrze, zwolna ale  
nieuchronnie, wspaniała bita  
droga do Morskiego Oka*

Jeżelim się nie wygramolił na sam szczyt Furkotu, niech mnie tłumaczy to, że to była w ogóle moja pierwsza większa wycieczka. Jedno upojenie! Nocleg w Niewcyrce pod

gołym niebem (deptanie boso zrosionej trawy, zmysły, zmysły...), potem lubieżny dotyk Hrubego Wierchu, wreszcie nagły widok na Szczyrbskie jezioro... ta granatowa tafla w ciemnozielonym lesie, powiększająca się miarę jak się schodziło ku niej w zakosy w ciągu

kilku godzin, to było dla młodego warszawo-krakowianina, pozbawionego dotychczas wszelkiej styczności z naturą, czymś fantastycznym. To było coś jak Włochy ujrzane nagle z przełęczy alpejskiej – w miniaturze; bo wszystko jest w miniaturze w tych górach dla dzieci, gdzie – jakby przez nieporozumienie – kręci kark tyłu dorosłych.

Trzeciego dnia powrót przez Wysoką i Rysy, Roztoka...

„Roztoka”, słowo niegdyś tak magiczne, dziś martwe! Stała mi w pamięci ta Roztoka jak żywa, nie zgadlibyście kiedy. W teatrze, na sztuce Most Szaniawskiego, owej historii o nadrzecznym domu przewoźnika, którego egzystencję podcina zbudowany obok – most. Coś podobnego zdarzyło się Roztoce. Niegdyś wrzało tam życie. Każda prawie partia idąca w góry lub wracająca z gór zatrzymywała się tam na nocleg. Wytworne panie, panowie... Wieczorem płonął wesoły ogień, skwierczała na patelni jajecznicca z niezliczonej ilości jaj, skrzeczała harmonia i piskały skrzypki, nierzadko biły pięty o podłogę we wściekłym tańcu góralskim. Gospodarz było to tęgi chłop, nazywał się Wojtek Buc, zawsze płątało się tam pod jego komendą parę przystojnych dziewcząt do posługi. Ale już pełzał ku Roztoce wróg, który miał ją zdusić. Już posuwała się, kilometr po kilometrze, zwolna ale nieuchronnie, wspaniała bita droga do Morskiego Oka, wytyczona wysoko nad Roztoką, koło malowniczych wodogrzmotów. Skoro tak droga doszła do końca, skończyła się jajecznicca i w ogóle życie Roztoki. Pocóżby kto zbaczał do niej, pocóżby nocował, skoro nocleg stał się zbyteczny. Gospoda zamarła; co najwyżej zaszedł tam jakiś uparty tradycjonalista, romantyk, który lubił wieczorem zadumać się w pustce, wodząc oczami po czarnej ścianie świerków.

Gdyby tak zajrzeć co się tam dzieje, czy stoi jeszcze stare schronisko w Roztoce?

I potem powędrować tą jedyną, bezkonkurencyjną doliną Białej Wody, której woda, biała, czarna, zielona, niebieska, różnobarwna, tak mocno namagnesowana jest wiecznością? Nic banalniejszego niż górski strumień; wiadomo, że płynął tak samo sto lat temu, tysiąc lat temu i w ogóle to wszystko jest bardzo głupie. Czemuż właśnie w tej Białej Wodzie czuło się „to” tak dotykalnie, że można było godzinami wpatrywać się w rozbryzgującą się białą pianę i poprzez nią zaglądać w twarz wielkiej Tajemnicy?

Tylko... czy to jest zajęcie na wakacje?

*Tadeusz Boy-Żeleński*